Polskie listopady

Fot. cocoparisienne from Pixabay

Stefan Król *(London, Ontario, Kanada)*

Polska ma dwie ważne daty w nowożytnej historii: trzeci maja 1791 i jedenasty listopada 1918 r. Obie uczyniła świętami narodowymi. Pierwsza data zamyka historię Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w dwa lata bowiem po Konstytucji Trzeciego Maja nastąpił kataklizm rozbiorów. Druga rozpoczyna odrodzenie i historię Drugiej Rzeczypospolitej. Dobrze, że tak się

stało. Te dwa święta unieważniają niejako rozbiory, zachowują ciągłość wolnej Polski.

“Listopad to dla Polski niebezpieczna pora” – mówi w dramacie Stanisława Wyspiańskiego “Noc listopadowa” Wielki Książę Konstanty. Rzeczywiście, jeśli przyjrzymy się różnym polskim listopadom, to przyznać musimy, że książę miał rację. Dzieje agonii i dzieje zmartwychwstania Rzeczypospolitej rozegrały się w wyobraźni Polaków właśnie na przestrzeni tego jednego miesiąca.

Pierwsza konfederacja, która wezwała na pomoc Rosję do rozwiązania wewnętrznych problemów Polski, została zawiązana w Tarnogrodzie 26 listopada 1715 r. Pierwsza konfederacja, która nastąpiła przeciw Rosji – powstała w Dzikowie w 1734 r. W cieniu Rosji i wśród coraz szybciej następujących po sobie listopadów minęło także panowanie ostatniego monarchy Rzeczypospolitej Obojga Narodów, koronował się bowiem Stanisław August 25 listopada 1764 roku. Ostatni sejm Rzeczypospolitej – rozbiorowy sejm grodzieński – zakończył obrady w r. 1793 – 23 listopada. W niespełna rok później konało już powstanie kościuszkowskie: 4 listopada 1794 doszło do pamiętnej rzezi Pragi, 5 listopada do kapitulacji Warszawy, a 16 listopada do rozwiązania ostatnich oddziałów pod Radoszycami. Po upływie roku (a po 31 latach tragicznego panowania) Stanisław August złożył koronę w tym samym dniu, kiedy ją

założył – 25 listopada.

Zanim nastąpiło listopadowe wskrzeszenie Polski w XX w., najważniejsze wydarzenia czasów niewoli rozegrały się znów w listopadzie. 28 listopada 1806 r. armia napoleońska przyniosła wolność pruskiej wtenczas Warszawie. Po sześciu latach kolejny listopad pogrzebał możliwość wskrzeszenia całej Rzeczypospolitej, gdy w dniach 26-28 listopada 1812 armia polska towarzysząca Napoleonowi przeprawiła się przez Berezynę z wielkimi stratami w odwrocie spod Moskwy.

I znów mijały lata i kolejne listopady wskrzeszały lub zabijały polskie idee wolnościowe. 29 listopada 1930 r. pożar warszawskiego browaru na Solcu stał się sygnałem do największego naszego powstania narodowego – nazwanego listopadowym właśnie – a w rezultacie także do wielkiej wojny polsko-rosyjskiej, trwającej dłużej niż moskiewska wyprawa cesarza Francuzów. 16 listopada 1846, dokładnie w rocznicę Radoszyc, wcielono do Austrii ostatni kawałek polskiej państwowości – Rzeczpospolitą Krakowską; listopad 1864 widział z kolei kres działalności ostatniego partyzanta Powstania Styczniowego – księdza Stanisława Brzóski. Aby zakończyć tę listopadową wyliczankę dodam, że obalenie muru berlińskiego w 1989 r., symbolu władzy komunizmu nad Europą, nastąpiło także w listopadzie.

Po wielu pozornie cichych latach, gdy trzeba było schować szable do pochew, a zaprzęgnąć do pracy wolnościowej pióra i umysły, nadszedł wreszcie listopad 1918 r., najszczęśliwszy chyba listopad w całej historii Polski. Polska stała się znowu niepodległa i mogła wrócić do Europy. Więc może skończyła się wreszcie nasza zła listopadowa passa.

Przedwojenny dorobek odrodzonej Polski warto i należy wspominać z uznaniem, nawet z dumą. Wolność, o którą Polacy walczyli powstaniami, wolność długo wyczekiwaną, wolność wymodloną, nie została zmarnowana. Polacy wiedzieli, co z wolnością zrobić, jak wolność zorganizować. I jeśli po drugiej wojnie światowej wydawało się czymś niewyobrażalnym, aby ład w Europie dało się ponownie ustanowić bez przywrócenia państwa Polskiego (nawet Stalin nie myślał o utworzeniu 17. republiki), fakt ten należy przypisać przede wszystkim zdobyczom Drugiej Rzeczypospolitej w ciągu owych niepowtarzalnych dwudziestu lat prawdziwej niepodległości między pierwszą i drugą wojną światową.

Podstawowym problemem odrodzonej Polski była integracja. Ludność, instytucje i tradycje trzech zaborów należało stopić w jedną całość. Żeby sobie uświadomić, jak ogromnie trudny i złożony był to problem, podam tylko, że w pierwszym okresie niepodległości było w obiegu pięć różnych walut; pięć regionów kraju (Wielkopolska, Śląsk, Cieszyn, Galicja Wschodnia i

Środkowa Litwa) utrzymało różne systemy administarcji; w wojsku używano czterech różnych oficjalnych języków; w sądach – trzech różnych kodeksów karnych; tory kolejowe wymagały wagonów o dwóch różnych rozstawach kół.

Dodajmy do tego ogromne zniszczenia wojenne. Prawie 90% międzywojennego obszaru państwa polskiego było terenem działań wojennych. Na 22% powierzchni toczyły się długotrwałe, wyniszczające walki pozycyjne. W wyniku działań wojennych, epidemii, głodu i deficytu urodzeń liczba ludności w 1920 r. na terenie Polski zmniejszyła się o prawie trzy miliony w stosunku do roku 1910. I oto w przeciągu zaledwie dwudziestu lat, które historia podarowała Polsce międzywojennej, naród polski zdążył zespolić swe trzy dzielnice, potwierdzić i wzmocnić swą osobowość, wyrażoną w większości przypadków przez demokratyczne instytucje. Pamiętajmy, że wybory do pierwszego sejmu polskiego odbyły się już 26 stycznia 1919 r., gdy formalnie rzecz biorąc nawet jeden kilometr polskich granic nie był ustalony. Frekwencja wyborcza była bardzo wysoka i wahała się, mierząc powiatami, od 60 do 90 procent. Polskie tradycje parlamentarne zaliczają się do najstarszych w Europie, sformowały się już w XV w. Konieczność zwołania sejmu była wprost dogmatem dla ludzi spodziewających się, że wojna światowa poprawi położenie narodu. Odzyskawszy niepodległość Polska szybciej i energiczniej zabrała się do zwoływania sejmu niż zorganizowania armii, choć i armię zdążyła stworzyć na czas.

Doszło do głosu poczucie historyczne i prawne ogromnej większości społeczeństwa.

Co było pierwszą, podstawową przyczyną tego sukcesu narodowego?

W drugim roku swego pontyfikatu Jan Paweł II mówił na forum UNESCO:

> Jestem synem Narodu, który przetrzymał najstraszliwsze doświadczenia dziejowe, który wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć – a on pozostał przy życiu i pozostał sobą, zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność jako Naród – nie w oparciu o jakiekolwiek inne środki fizycznej potęgi, ale w oparciu o własną kulturę, która okazała się w tym przypadku potęgą większą od tamtych potęg […]. Istnieje podstawowa suwerenność społeczeństwa, która wyraża się w kulturze Narodu. Jest to ta zarazem suwerenność, przez którą równocześnie najbardziej suwerenny jest człowiek.

Tak więc to polska kultura zwyciężyła naszych zaborców. To był ów dynamit, który rozsadzał pęta niewoli – mimo długiego ciągu smutnych polskich listopadów.

Nie jest łatwo udzielić w pełni uzasadnionej odpowiedzi na pytanie, w czym tkwiła – i mam nadzieję jeszcze tkwi – ogromna siła i atrakcyjność polskiej kultury. Nawet w czasach niewoli wielu Kolbergów, Estreicherów, Trauguttów polonizowało się i stawało polskimi patriotami. Można co najwyżej pewnym obrazem, czy raczej opowiadaniem, naprowadzić na właściwą – jak się wydaje – odpowiedź.

Każdy naród pieczołowicie przechowuje swoje najstarsze teksty. Norwegowie i Szwedzi są dumni ze swoich starych sag skandynawskich, opiewających przewagi wojenne wikingów. Francuzi mają słynną "Przysięgę strasburską" z 842 r., wypowiedzianą na znak przymierza politycznego przez dwóch wnuków Karola Wielkiego. Najstarsze zapisane zdanie włoskie nie nadaje się do powtórzenia, bo jest bardzo brzydkie. Najstarsze zapisane polskie zdanie znajduje się w tzw. Księdze Henrykowskiej, pochodzącej z drugiej połowy XIII w. Jest to pisana po łacinie – z wyjątkiem owego jednego zdania polskiego – kronika klasztoru spod Wrocławia. W jednym ustępie kronika opowiada, jak to w pobliżu klasztoru rolnik Boguchwał Brukał otrzymał od księcia Mieszka Starego ziemi "na cztery woły", a potem sam zagarnął lasu "na cztery pługi". Wracał z tego karczowania bardzo utrudzony, ale gdy w domu widział, jak żona męczy się przy żarnach, mieląc zboże na chleb, nieraz jej powiadał (i tu kronikarz zapisał, co on do niej po polsku mówił): "Daj ać ja pobruszę, a ty poczywaj", przekładając na współczesna

polszczyznę znaczy: “Daj, niechże ja pomielę, a ty odpocznij”.

To pierwsze polskie zdanie wskazuje, w czym tkwi siła polskiej kultury, jest to po prostu kultura rodzinna. To polski dom okazał się fortecą polskości. Zaborca nie przeszedł progu polskiego domu rodzinnego.

Żyjemy w określonym miejscu i w określonym czasie. Stwierdzenie oczywiście banalne, ale konsekwencje faktu wyrażonego tym stwierdzeniem banalne nie są, bo on właśnie określa nasze życie, nasz sposób bycia między ludźmi, nasz projekt przyszłości i sposób dziedziczenia, nasze hierarchie wartości, pragnienia, sposoby rozumienia świata. Miejsce to przestrzeń, która jest w zasięgu mojej ręki, którą wyznacza próg mojego domu, granica powiatu lub prowincji, słupy graniczne mojego lub nie mojego państwa. I czas. Czas zapamiętany, opowiadany, czas życia moich rodziców i dziadków, przeszłość niby umarła, a żyjąca we mnie, i przyszłość – pole realizacji moich zamiarów. W obrębie tej przestrzeni i tego czasu buduję swój krąg swojskości, bez którego nie mogę być szczęśliwy, bo nie mogę czuć się bezpieczny. Budując krąg swojskości wchodzę w kontakt z innymi ludźmi, którzy żyją na tym terytorium, ale szukam przede wszystkim tych, co są ukształtowani przez tę samą kulturę, z którymi łączą mnie te same mity i przesądy, którzy mają tę samą pamięć i rodzaj wyobraźni, którzy rozumieją moje dowcipy. Ci, co twierdzą, że więzy narodowe można z dnia

na dzień zastąpić innymi więzami grupowymi, np. zawodowymi, nie wiedzą, co stanowi fundament ich tożsamości duchowej, są podobni do pana Jourdain z komedii Moliera, który nie wiedział, że mówi prozą.. Ale i ci, co nie chcą zobaczyć poza swoim płotem sąsiada, nie uczynią swego mieszkania domem. Bo dom jest wprawdzie miejscem bezpieczeństwa i swojskości, ale właśnie dlatego, że jest, również miejscem otwartości i gościnności, gdzie gospodarz siadając na progu może powiedzieć – jak w legendzie o greckim filozofie ogrzewającym się przy domowym ogniu – przechodniu, wejdź, tu także mieszkają bogowie. Ci, co tego nie wiedzą, są podobni do rozbitków na bezludnej wyspie.

Nasze obyczaje dotyczące życia i śmierci, miłości, narodzin i wszystkich ważnych wydarzeń, stwarzają wokół nas jakby żywioł, w którym żyjemy; są naszą sprawdzoną łódką, w której płyniemy przez życie. Bez tej łódki musielibyśmy się chwytać przypadkowo napotkanej belki obcych dla nas obczajów. Na takiej belce można dopłynąć do najbliższej wyspy, ale nie można po ludzku żyć.

Stefan Król *(1937-2015) – kanadyjski fizyk, felietonista.*